

**EDGAR ALLAN
POE**

WILLIAM WILSON

Edgar Allan Poe

William Wilson

http://www.litres.ru/pages/biblio_book/?art=23521418

William Wilson:

Аннотация

W noweli William Wilson Poe obiera za temat posiadanie sobowtóra. Tytułowy bohater wspomina swoje młodzieńcze lata. Opowiada o tym, że chodził do szkoły z chłopcem, który nosił takie samo imię i nazwisko, jak on oraz był do niego bardzo podobny. Z tego powodu między chłopcami narodziła się ogromna rywalizacja o oceny, osiągnięcia i popularność. Dalszy rozwój wydarzeń pozwala Williamowi dostrzec, że jego sobowtór robi się do niego coraz bardziej podobny... Tłem dla noweli jest młodzieńcza rzeczywistość Poe'go – w utworze pojawiają się miejsca, z którymi autor był związany w dzieciństwie. Temat sobowtóra zafascynował Poe'go po lekturze artykułu W. Irvinga o frustracji, związanej z poczuciem indywidualności, osób spotykających innych, nazywających się jak oni. Edgar Allan Poe to amerykański pisarz epoki romantyzmu, przedstawiciel nurtu gotyckiego. Uznawany jest za najśłynniejszego twórcę XIX-wiecznej fantastyki i horroru, inspirował kolejne pokolenia autorów, m.in. Stefana Grabińskiego, Gustava Meyrinka, H.P. Lovecrafta.

Содержание

Конец ознакомительного фрагмента.

14

Edgar Allan Poe

William Wilson

*Cóż powie – on? Co powie głos sumienia —
Ta zmora zmór, co za mną kroczy w ślad?*

Chamberlayne: Pharronida

Niechże mi wolno będzie do czasu nazywać się Williamem Wilsonem. Rzeczywiste moje nazwisko nie powinno pokalać leżącej oto przede mną, nietkniętej jeszcze karty. Nazwisko owo aż nazbyt często było przedmiotem wzgardy i lęku – źródłem wstrętu dla mojej rodziny. Czyliż wzburzone wichry nie otrąbiły bezprzykładnej hańby tego nazwiska aż po najdalsze krańce kuli ziemskiej? O, najsamotniejszy ze wszystkich wygnańców! Czyliż nie umarłeś na zawsze dla świata – dla jego zaszczytów, dla kwiatów, dla złocących się urojeń? I czyliż chmura gęsta, ponura i bezkresna nie zawisała na wieki pomiędzy twoją nadzieją a niebem? Gdybym mógł nawet, nie chciałbym zawrzeć dzisiaj w tych kartach wspomnienia ostatnich lat trudnej do opisania nędzy ducha i nieprzebaczalnej zbrodni. Ta ostatnia epoka mego życia spiętrzyła aż po kres ostateczny ilość hańbiących mnie występków i pragnę jedynie określić źródło ich pochodzenia. Jest to na razie mój zamiar wyłączny. Ludzie zazwyczaj nikczemnieją stopniowo. Co do mojej osoby – wszystka cnota w okamgnieniu, zienacka opadła ze mnie jak płaszcz. Od tuzinkowej mniej

więcej rozpusty siedmiomilowym krokiem przerzuciłem się w świat zmór bardziej niż heliogabalowych¹. Pozwolę sobie w całej rozciągłości opowiedzieć, jaki traf, jaki jedyny w swym rodzaju mus pchnął mnie ku owym upadkom. Zbliża się śmierć i cień, który ją poprzedza, nakazem uciszeń dosięgnął mego serca. W mym pochodzie poprzez dolinę mroków pożądam współczucia – chciałbym rzec – miłosierdzia mych bliźnich. Pragnąłbym ich przekonać, że byłem poniekąd niewolnikiem okoliczności, które się wymykają wszelkim dozorom ludzkim. Życzyłbym, aby w szczegółach, które im podam, wykryli na moją korzyść pewną maluczką oazę *przeznaczenia* wśród Sahary zgroź. Chciałbym, aby uznali, że chociaż ten padół słynie z wielkich pokus, nikt dotąd nigdy nie był kuszony w ten sposób i bez wątpienia nigdy w ten sposób nie uległ. Czyż nie dlatego, iż nikt nigdy nie doznał tych samych cierpień? Zaprawdę – czyliż nie żyłem we śnie? Czyliż oto nie ginę jako ofiara zgrozy i tajemnicy najdziwaczniejszej ze wszystkich zmór podksiężycowych? Jestem potomkiem rasy, którą zawsze wyróżniał temperament zdolny do przywidzeń i łatwo zapalny, i pierwsze lata mego dzieciństwa są już dowodem, że całkowicie odziedziczył cechy mego rodu.

Z biegiem czasu cechy owe zarysowały się dosadniej i z wielu powodów stały się dla mych przyjaciół przedmiotem poważnych niepokojów, a dla mnie – źródłem istotnych krzywd. Stałem się

¹ *heliogabalowy*– od imienia Heliogabala, cesarza rzym. (218–222), który zasłynął z powodu wyszukanej rozpusty. [przypis redakcyjny]

– samowolny, pochopny do najdzikszych wybryków. Oddałem się na pastwę najbardziej nieposkromionym namiętnościom. Rodzice moi – ludzie słabego charakteru, dotknięci na domiar udreką przyrodzonych i organicznych niedoborów, niewiele mogli przedsięwziąć dla przytłumienia złych skłonności, które zdradzałem. Nie zaniedbali ze swej strony kilku słabych i nietrafnych wysiłków, które się zgoła rozminęły z zamiarem i zakończyły całkowicie moim tryumfem. Odtąd słowo moje stało się w domu – rozkazem i w wieku, gdy dzieci jeno wyjątkowo pozbywają się swych wędzideł, przyznano mi wolną wolę i stałem się panem mych wszystkich, z wyłączeniem imienia² – czynności.

Pierwsze moje z życia szkolnego wrażenia wiążą się z obszernym a dziwacznym budynkiem w stylu Elżbiety³ w głuchym zakątku Anglii, strojnym w niezliczoną olbrzymich, sękowatych drzew, a którego wszystkie domostwa były wyjątkowo zamierzchłe. I, doprawdy, owo czcigodne a starożytne miasteczko było podobizną marzeń i miejscem oczarowań ducha. I nawet w tej chwili udziela się mej wyobraźni ożywczy dreszcz jego do głębi cienistych alei i oddech mój napełnia się powiewem jego tysięcznych gajów, i dotąd jeszcze

² z wyłączeniem imienia – tu: oprócz dysponowania mieniem, majątkiem. [przypis redakcyjny]

³ styl Elżbiety – styl architektoniczny wczesnego renesansu, związany z panowaniem ang. królowej Elżbiety I (1558–1603), charakterystyczny dla budownictwa świeckiego (pałace, rezydencje, szkoły), łączył cechy gotyku z renesansową ornamentyką, inspirowany m.in. sztuką włoską i flamandzką. [przypis redakcyjny]

z niewytłumaczoną rozkoszą drzę na wspomnienie piersiowych a głuchych brzmień dzwonu, który co godzina swym nagłym a gderliwym porykiem rozszarpywał ciszę mglistej atmosfery, kędy grażyła się drzemotą zdjęta dzwonnica gotycka, cała zębami ozdobna.

Zaiste wszystek zasób dostępnego obecnie mym doznaniom szczęścia czerpię ze szczegółowych wspomnień życia szkolnego i właściwych mu mrzonek. Zatraconemu, jakom jest, w kłęsce – w kłęsce – niestety – aż nazbyt rzeczywistej – wybaczą chyba, że szukam wielce kruchej i wielce przelotnej pociechy w tych dziecięcych i luźnych wspominkach. A chociaż zgoła pospolite i błahe same przez się, nabierają skądinąd w mej wyobraźni doniosłości przygodnej, dzięki swemu ścisłemu związkowi z miejscem i epoką, w których z dzisiejszego oddalenia postrzegam pierwsze, niejasne przestrogi losu, co od owego czasu w tak głębokie spowinał mnie cienie. Nie wzbraniajcież mi wspomnień!

Domostwo, jak rzekłem, stare było i beładne. Podwórzec był obszerny, okolony wysokim a krzepkim murem z cegieł, zakończonym polepą z gliny i tłuczonego szkła. Ten szaniec, godny więzienia, znaczył granicę naszego państwa. Oczy nasze przedostawały się poza nią tylko trzy razy na tydzień – raz jeden co sobota, po południu, gdy w towarzystwie dwóch dozorców szkolnych wolno nam było odbywać społem krótkie spacerunki do wsi sąsiedniej, i dwa razy – co niedziela – kiedy uszykowani jak żołnierze na popisie szliśmy do jedyne go w miasteczku kościoła,

aby wysłuchać porannego i wieczornego nabożeństwa. Rektorem naszej szkoły był pastor owego kościoła. Z jakim głębokim uczuciem podziwu i oszołomienia z naszej ku chórom oddalonej ławy przyglądałem mu się, gdy wstępował na ambonę krokiem uroczystym a powolnym! Ta postać czcigodna, obdarzona obliczem tak łagodnym i dobrotliwym, przyodziana w szatę tak obficie połyskliwą i tak po kapłańsku rozwiewną – przybrana w perukę tak starannie upudrowaną, a tak wysztywnioną i sutą – czyliż mogła być tym samym człkiem, który przed chwilą, z twarzą surową i w odzieży zatabaczonej⁴, z dyscypliną w rękę, czuwał nad wykonaniem drakońskiej ustawy szkolnej? O, wybują to paradoks, którego potworność wyklucza wszelką odpowiedź na pytanie!

W kącie masywnego muru tkwiły jak na pokucie jeszcze masywniejsze drzwi, szczelnie zamknięte, upstrzone zasuwami i zakończone u góry rozkrzewieniem się zębatego żelastwa.

Jakież głębokie uczucie strachu szerzyły owe drzwi! Rozwierały się jeno dla trzech periodycznych wycieczek i powrotów, o których już mówiłem – wówczas w każdym zgrzycie ich potężnych zawias⁵, odślaniał się nam nadmiar tajemnic – cały świat uroczystych postrzeżeń lub jeszcze uroczystszych rozmyślań.

Obszerna zagroda miała kształt nieprawidłowy i podział

⁴ *zatabaczony*(starop.) – zabrudzony tabaką lub niechlujny; staromodny. [przypis redakcyjny]

⁵ *potężnych zawias* – dziś: potężnych zawiasów. [przypis redakcyjny]

na kilka części, z których trzy lub cztery – największe – stanowiły miejsce dla zabaw. Miejsce owo było wyrównane i powleczone drobnym i ostrym szczykiem⁶. Pamiętam dobrze, iż nie posiadało ani drzew, ani ławek, ani w ogóle nic w tym rodzaju. Ma się rozumieć, iż znajdowało się w tyle budynku⁷. Od przodu widniał niewielki kwietnik wysadzany bukszpanem i innymi krzewami, lecz ową świętą oazę wolno nam było przekraczać tylko w rzadkich wielce wypadkach, jako pierwszy wstęp do szkoły lub odjazd ostateczny, lub też, być może, w chwilach gdy ktoś z przyjaciół lub krewnych kazał nas zawołać i wesoło ruszaliśmy w drogę do rodzinnych pieleszy na Boże Narodzenie lub na św. Jana.

Lecz dom! Co za osobliwą a starą budowlą był ów dom! Zaś dla mnie był istnym pałacem zaklętym! Końca nie było jego korytarzowym zakrętom i niezrozumiałym podziałom. Trudno było w tej lub innej, na chybił trafił wybranej chwili stwierdzić z całą pewnością, czy się jest na pierwszym, czy na drugim piętrze. Miało się za to pewność, iż w przejściu z jednego pokoju do drugiego stopa napotka trzy lub cztery stopnie w górę lub w dół. Prócz tego niezliczone i niedostępne pojęciu były boczne podziały, które tak się wsnuwały i wysnuwały z siebie, iż najdokładniejsze ogarnięcie myślą całości gmachu niewiele się różniło od owej mrzonki, za której pomocą oglądamy

⁶ szczyk – gliniasty piasek. [przypis redakcyjny]

⁷ znajdowało się w tyle budynku – dziś popr.: znajdowało się na tyle budynku. [przypis redakcyjny]

nieskończoność. W ciągu lat pięciu mego pobytu nigdy nie potrafiłem dokładnie określić tej odległej okolicy gmachu, w której znajdowała się ciasna sypialnia, przeznaczona dla mnie i dla innych osiemnastu lub dwudziestu żaków.

Klasa była najobszerniejszą komnatą w całym domu, a nawet w całym świecie, w każdym razie nie mogłem się oprzeć takiemu na nią pogładowi. Bardzo długa, bardzo wąska i ponuro niska, z dwułukowymi oknami i z dębowym pułapem. W odległym kącie, który ział postrachem, tkwiła zagroda, mająca osiem do dziewięciu stóp kwadratowych, a stanowiąca w godzinach wykładów *sanctum*⁸ naszego zwierzchnika, przewielebnego doktora Bransby'ego. Była to krzepka budowa z masywnymi drzwiami. Niżli je rozewrzeć w nieobecności *Domine*⁹, wszyscy byśmy raczej wybrali zgon od *różgi i rzemienia*. W dwu innych kątach wznosiły się dwie podobne zagrody – przedmioty o wiele, co prawda, mniejszej czci, ale w każdym razie źródła dość znacznego postrachu, jedna z nich była katedrą mistrza humaniorów¹⁰, druga zaś – profesora języka angielskiego i matematyki. Rozsiane tam i sam po sali bezliki ław i pulpitów, straszliwie objuczone książkami z plamistym odwzorem palców, krzyżowały się w nieskończonym bezładzie – szerniały,

⁸ *sanctus* (łac. święty) – tu forma rodz. n.: *sanctum*, chodzi tu o miejsce święte, przestrzeń świętą, wyjątkową. [przypis redakcyjny]

⁹ *dominus* (łac.) – pan, gospodarz, zwierzchnik, tu forma W. lp: *domine*. [przypis redakcyjny]

¹⁰ *humaniora* (od łac. *humanus* – ludzki) – nauki humanistyczne: historia, literatura, sztuka. [przypis redakcyjny]

zgrzybiałe, zjedzone czasem i tak gruntownie pożłobione w kształty inicjałów, całkowitych imion, postaci groteskowych i innych licznych *arcydzieł* scyzoryka, że zgoła zatraciły i tę bylejąkość formy, której im udzielono w czasach wielce zamierzchłych. Na jednym krańcu sali tkwił olbrzymi ceber wody, a na drugim – zegar niewiarygodnych rozmiarów.

Zamknięty w masywnych murach tej czcigodnej szkoły, spędziłem wszakże bez nudy i bez niesmaku trzecie pięciolecie mego żywota.

Płodny umysł dziecięcy nie wymaga od świata zewnętrznego pobudek dla swej pracy lub zabawy i ponura na pozór jednostajność szkolnego istnienia obfitowała w podniety płomienniejsze aniżeli owe, których dojrzała moja młodość szukała w uciechach zmysłowych, a wiek męski – w zbrodni. Wszakże muszę wyznać, iż pierwszy mój rozwój umysłowy był pod wieloma względami niezbyt pospolity, a nawet ponad poziom wybiegający. Wypadki lat dziecinnych najczęściej nie pozostawiają w duszach ludzi dojrzałych zbyt wyraźnych śladów. Nic, tylko – cień mglisty, wątle a bezładne wspomnienie, mętna gmatwanina kruchego wesela i urojonych trosk. Inaczej rzecz miała się ze mną. Zapewne z dzielnością dojrzałego mężczyzny wyczuwałem w dzieciństwie to, co i dziś jeszcze ryje się w mej pamięci w konturach tak żywych, głębokich i trwałych jak rysunki medali kartagińskich. A tymczasem – w rzeczy samej – z utartego punktu widzenia – jakże tam mało było treści dla wspomnień!

Ład porannych ocknień, nakaz udania się na spoczynek nocny, nauka lekcji, wygłaszanie ich z pamięci, regularne pólurlopy i spacery, podwórzec dla zabaw wraz z jego kłótniami, wywczasami i intrygami – wszystko to, zniknione w magicznym śnie ducha, zawierało w sobie cały nadmiar wrażeń, przepych wypadków, nieskończoność najrozmaitszych wzruszeń i najbardziej płomiennych i upojnych podnieć. *Hej! Niezgorzej się żyło w onym wieku żelaznym!* W istocie – dzięki płomiennej, entuzjastycznej, władczej naturze – wyróżniłem się wkrótce spomiędzy reszty mych towarzyszy i z wolna a zgoła nieznacznie pozyskałem przewagę nad wszystkimi, którzy mię wiekiem nie prześcigali – nad wszystkimi, z wyjątkiem jednego.

Był to żak wcale ze mną nie spokrewniony, nosił to samo imię i to samo nazwisko – okoliczność małej sama przez się wagi, gdyż, mimo dostojnego pochodzenia, nosiłem jedno z tych licznych nazwisk, które snadź od czasów niepamiętnych – prawem przedawnienia – stały się ogólną własnością motłochu. W niniejszym przeto opowiadaniu nadałem sobie przezwisko Williama Wilsona – przezwisko zmyślane, które niezbyt od rzeczywistego odbiega.

Wśród tych, co, mówiąc szkolnym językiem, stanowili naszą *bandę*, jeden tylko mój imiennik miał odwagę współzawodniczyć ze mną w wiedzy szkolnej, w grach i dysputach podczas wolnych od nauki godzin – oraz odmawiania ślepej wiary mym twierdzeniom i bezwzględnemu poddaniu się mej woli – słowem – przeczenia mej dyktaturze przy

każdej lada sposobności. Jeżeli istnieje na ziemi despotyzm krańcowy i bez zastrzeżeń, jest nim właśnie despotyzm genialnego dziecka względem słabszych duchowo towarzyszy. Buntowniczość Wilsona była dla mnie źródłem najdotkliwszych zakłopotañ, tym bardziej że wbrew przechwałkom, których publiczne w stosunku do jego osoby i jej uroszczeń podkreślanie uważałem za swój obowiązek, czułem w głębi duszy strach przed nim i nie mogłem nie postrzec w tym, tak łatwo przezeń zachowywanym poziomie dorównywania mi wręcz i w oczy – dowodów prawdziwej wyższości, ponieważ sam – ze swej strony musiałem przykładać nieustannych starań, ażeby uniknąć porażki. Wszakże o tej wyższości, lub raczej równości, ja tylko jeden, właściwie, powziąłem wiadomość. Towarzysze nasi, dzięki niepojętej ślepotcie, zdawali się nawet nie podejrzewać jej istnienia.

Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.